

Przemysław Piętaś: Literackie święta

Druga połowa XX wieku, czas wyjątkowego rozkwitu polskiej literatury. Jego ślad odnajdujemy nie tylko w przebogatych zbiorach polskiej prozy i eseistyki tamtego okresu, ale również w obficie publikowanych w ostatnich latach tomach dzienników i korespondencji. Dzięki nim możemy prześledzić, co zajmowało naszych literatów w okresie świąt Bożego Narodzenia – zarówno w kraju, jak i na emigracji



Druga połowa XX wieku, czas wyjątkowego rozkwitu polskiej literatury. Jego ślad odnajdujemy nie tylko w przebogatych zbiorach polskiej prozy i eseistyki tamtego okresu, ale również w obficie publikowanych w ostatnich latach tomach dzienników i korespondencji. Dzięki nim możemy prześledzić, co zajmowało naszych literatów w okresie świąt Bożego Narodzenia – zarówno w kraju, jak i na emigracji

Jarosław Iwaszkiewicz, 27 grudnia 1954, Moskwa[1]

„(...) Wczoraj ten wielki obiad na Kremlu. Odczuwałem w bardzo przyjemny sposób wszystkimi porami ciała *le succès*. Zupełnie jak w Amsterdamie – to się czuje od razu, jeżeli się zrobiło dobre wrażenie. Z mojego przemówienia (powiedzmy to w największej dyskrecji, nie piszę tych notek do druku) jestem prawdziwie dumny. Postawiłem się jak Wielopolski – i zdobyłem szacunek. Ja jeden przemawiałem jak członek dużego, prawdziwego narodu, który prowadzi w tej chwili taką a nie inną politykę, ale jest oddzielnym, osobnym narodem. (...) Dzisiaj już wyjeżdżamy. Kruczowski leżał cały czas w lecznicy. Bardzo nam dobrze było i z Markiewiczem, i z Drewnowskim, i z miłą, dobrą Jadzią Stanukowicz. Woroszyński i Czeszko (co za cham!) dopełnili towarzystwa. Urządziliśmy sobie wigilię w moim prywatnym pokoju (z kawiolem i szampanem), obdarowaliśmy się prezentami i składaliśmy sobie życzenia. Siedzieliśmy do trzeciej w nocy. Zupełnie było jak wigilia sybiraków u Malczewskiego.”

Jan Józef Szczepański, 26 grudnia 1957[2]

„Już po świętach. Do willi siadaliśmy sami, tylko z Antosią [Cieżówną]. Niewiele kolędowania. Danusia zmęczona, kąpanie małej. Anulka z Michałem podnieceni szalenie prezentami. Anulasa na widok roweru

wydała pisk, jakby ją kto przypiekl.

Ja przez te dni wycisnąłem artykuł dla „Taternika” (skończyłem przed chwilą) i jestem zdecydowany nic już nie robić do końca roku. Czytam Bobkowskiego z nieustającym zainteresowaniem. Obraz okupowanej Francji jest rewelacyjnie egzotyczny. (...)

Dziś wieczorem Lemowie, Jerzy Turowicz i ks. Wojtyła – dziwna kompania do kolędowania”

Andrzej Bobkowski do Jerzego Giedroycia, 17 grudnia 1958[3]

„(...) Mocno Pana ściskam i tulę do serca, myślami w tym dniu, w którym człowiek czuje się jeszcze bardziej samotny niż zwykle, będę koło Pana, bo chyba Pana bardzo kocham, jeżeli można się do tego uczucia przyznać. Proszę także przekazać moje uściski i życzenia Józiovi i Maryni i oczywiście Zygmunтови i Zosi. Co z Dudkiem? Czy jeszcze jest przy Was? Wesołych świąt i lepszego Nowego Roku dla całego Łafitu.”

Jerzy Giedroyc do Andrzeja Bobkowskiego, 23 grudnia 1958[4]

„(...) Święta mogłyby być gorsze. Będzie nas na Wilii z 5 chłopców z kraju, którzy tu siedzą sami i „opuszczeni”, a że to są chłopcy naprawdę i ciekawi, i wybitnie się zapowiadający, to już wolę to, jeśli nie mogę być sam z psem na bezludnej wyspie. Życzenia i pozdrowienia skrupulatnie przekazuję. Cały Laffitte jest bez zmian z Dudkiem, który tu utkwiał na dobre”

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1958[5]

„Święta trochę jak klęska żywiołowa, z mnóstwem uciążliwych zabiegów, z jeżdżeniem po rybę aż na Płaszów i mordowaniem jej, z nerwami i dziećmi wychodzącymi ze skóry z podniecenia, z wizytami nie w porę i wszelkimi tradycyjnymi „wyciskami”, które ostatecznie miło się potem wspomina. Kasia bardzo dorośle siedziała przy wili, bębniąc łyżką w stół, a przy choince śpiewała po swojemu kolędy, wtórując nam śmiesznie modulowanymi piskami i okrzykami.

Dobijam do końca z nowelą. Dziś zacząłem ostatni rozdział. Mam wrażenie, że to opowiadanie będzie dobre.”

Andrzej Bobkowski do Jerzego Giedroycia, 15 grudnia 1959[6]

„(...) Jeżeli tylko ta zwariowana choroba mi da spokój (nie spodziewałem się, że dożyję już drugiego Bożego Narodzenia), to w styczniu chcę wyjechać trochę nad jezioro albo nad morze. Bardzo się napracowałem teraz w listopadzie i grudniu. Chciałbym móc choć w części pospłacać te dobroczynne pieniądze. Już kończę, bo mi nie dają spokoju. Panie Jerzy – Pana mocno, mocno ściskam i życzę przede wszystkim zdrowia na te święta i Nowy Rok. Proszę – ale naprawdę – powiedzieć Maryni i Józiowi, że przesyłam im moje naj, najlepsze życzenia i proszę ode mnie uściskać Zosię, Zygmunta i Dudka.”

Andrzej Bobkowski do Jerzego Giedroycia, 4 grudnia 1960[7]

„(...) Kochany Panie Jerzy, gdy błysnie pierwsza gwiazdka i kieliszek wina czerwonego przewróci się przed Panem, bo jak zwykle pod obrus podłożą za dużo siana, gdy łąa błysnie w Pańskim oku i zetrze Pan ją krawatką, gdy będziecie się łamać opłatkiem życząc sobie „obyśmy już następne spędzili w kraaaaaaaaju” (zawsze najbardziej bałem się spełnienia tych życzeń, ale interlokutora nie mogłem wysłać do wszystkich diabłów), to proszę pamiętać, że tu, w dalekiej Guatemali, myślami będzie z Panem zawsze oddany Panu człowiek wyznający tę prostą, pełną serca zasadę polską: „Pamiętaj, że gdybyś czego potrzebował... to sobie kup”. Ściskam Pana mocno, mocno i do serca tulę, zdrowia i niczego więcej.”

Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza, 19 grudnia 1960[8]

„(...) Prezent na Gwiazdkę: W San Francisco na rogu Mao-tse Tung i Czou-en Laia spotyka się dwóch starych Amerykanów i jeden szepce do drugiego: „Za Ruskich było lepiej”. Proszę położyć to „widzenie” pod choinkę.”

Andrzej Bobkowski, 22 grudnia 1960[9]

„Rok i pół. Nic. Chłodny wieczór. Odgłosy petard z ulicy. Rok i sześć miesięcy minęły jak mgnienie oka. Nie myślałem, że dożyję do dzisiaj. Cieszę się życiem, choć śmierć stale stoi za moimi plecami. Czuję ją zawsze. Przeszedłem na koegzystencję i jakoś się to udaje.

Szalona rozkosz życia, zwyczajnego istnienia, kręcenia się, pracy, najdrobniejszych głupstw. Na stole rzodkiewka. Jedzmy rzodkiewkę. I pijmy piwo. Ubóstwiam piwo. Nastrój przedświąteczny.”

Jan Józef Szczepański, 24 grudnia 1960[10]

„Pierwsza w całym moim życiu wilia bez Matki. Wydaje mi się to czymś prawie zwykłym – teraz, po blisko roku od tej śmierci, takiej żalostnej, takiej „zaimprovizowanej” (bez możliwości skupienia się, bez

pożegnań, w upokarzającym pośpiechu cierpienia i nieskutecznych, źle podejmowanych zabiegów). (...) Anula [Mańkowska] obarczyła mnie misją napisania wspomnienia o Niej w „Tygodniku Powszechnym”. Nie potrafię tego zrobić. Okropny smak konwencjonalności takiego wspomnienia, bo nie można mówić obcym, czym była naprawdę. (...)

A mimo wszystko jest nastrój pogodny w tych świątach. Dzieci obdarowane, my bez grosza. Choinka (okupiona przymusową wizytą na milicji, bo kupiona od przygodnego sprzedawcy) ładna. Ubieraliśmy ją z dziećmi, szczęśliwymi i podnieconymi. (...)

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1961[11]

„Wczorajsza wilia w towarzystwie gosposi i Antoninki [Cieżówny]. Kasia z przejęcia wyjechała do rygi przy stole. Pod choinką masę prezentów (w kasie pusto). Dzieci ogromnie przejęte. To dla nich ciągle jeszcze ten prawdziwie zaczarowany dzień, którego aromat pozostaje na całe życie, nawet wtedy, kiedy święta są już tylko momentem wzmożonych kłopotów i wydatków. Zresztą nie tylko, bo coś jeszcze realnego zostaje, jakiś nawyk wzmożonej dobrej woli.

Wczoraj i dziś napisałem po parę zdań. Piszę to opowiadanie nieufnie. Czuję, że za bardzo jest programowe, za bardzo przeznaczone do „załatwienia” pewnych spraw.

Dziś wieczorów u Lemów z wszystkimi dzieciakami. Mróz ponad 20 stopni. Staszek zabrał nas i odwiózł samochodem. Wyświetlał film, który nakręcał w czasie wycieczki w Bieszczadach. Zabawne zobaczyć siebie od zewnątrz. Starszy, łyśawy paneczek, ruszający się jeszcze dziarsko – samo to określenie sugeruje pewną sztuczność, której na razie od wewnątrz nie czuję (wydaje mi się, że to moja nie uszczuplona energia fizyczna), ale kamera łapie te odcienie tak samo bezlitośnie, jak nasze oko wykrywa je u innych. Mimo wszystko to bardziej zabawne niż smutne.”

Sławomir Mrożek do Stanisława Lema, 26 grudnia 1961, Londyn[12]

„Nie do wiary, jaki świat jest duży i jak z tego nic nie wynika, również w Anglii.

Xmas tu się zaczął jeszcze w listopadzie. To zresztą już Marks przewidział, potem Lenin, a potem jeszcze ktoś, zgadnij kto, że tak będzie. Wszyscy tu chcą wszystko sprzedać i namawiają. Xmas jest więc świętem kupowania i zaczyna się kupować już w listopadzie. Teraz już po wszystkim i mogę spojrzeć wstecz, jak to było. Każdy latał z jakąś kolorową torebką albo z torbiszczem, bo tu wszystko pakują. Aż nagle, w wigilię, upili się wszyscy i nagle okazało się, że są ludźmi. To nie znaczy, że przestali mówić „thank you”. Kelner przynosi potrawę i mówi

„thank you”, jak gdyby to ja bym mu coś przynosił. Ale zataczali się i klęli, tak przynajmniej informowali mnie ci, co lepiej ode mnie mówią po angielsku. W święta wolno kląć. (...)”

Jan Józef Szczepański, 24 grudnia 1963[13]

„Zbliża się pierwsza w życiu wilia z dala od swoich. Siedzę w kabinie i przez otwarte okna widzę rozległą równinę pomarszczonego i ruchliwego ciemnego fioletu o czerwonym połysku, a na horyzoncie, za złotawą mgiełką prawie przezroczysty, lekki kontur górskiego łańcucha o bardzo rozmaitej, bardzo wyrazistej rzeźbie grani, pełnej drobnych ostrych wierzchołków, długich falujących przełęczy, nagłych szczyb i masywnych wypiętrzeń. To wszystko na tle nieba cytrynowego, przechodzącego ku górze w różowość i przepaloną purpurę. Same góry zresztą też nabierają z wolna zielonkawo-rudych odcieni. Miałem przed godziną serdeczny telegram od Gorskich. (...)”

Ten statek nie ma atmosfery. Nie postarano się o wspólną wilię oficerów i załogi. Każdy jakby wstydził się jakiegokolwiek inicjatywy. Odbyła się już ta „wilia”. W osobnych mesach, o restauracyjnym, z ledwo wymuszonymi życzeniami tu i ówdzie. Kapitan w ogóle nie zszedł. Śpi pijany. Wszyscy natychmiast rozleźli się po kabinach. Chodziłem po statku. Widać przez bulaje ludzi leżących na kojach. Podobno projekt kapitana, żeby urządzić wspólną kolację na pokładzie, odrzuciła załoga. Dziwne i smutne to wszystko. O północy mają do mnie przyjść ochmistrz i III-ci (po wachcie) z wódką. Do trzeciego

wstąpiłem na chwilę po kolacji. Zwlókł się z koi. Mówił, że właśnie przypomniał sobie wigilię w Oświęcimiu. Miał podejrzenie szkliste oczy. (...)”

Sławomir Mrozek, 25 grudnia 1965[14]

„Ponieważ to już drugi raz, więc mógłbym powiedzieć, że zawsze w pociągu dalekobieżnym piszę na maszynie. Ostatni raz trzy lata temu, prawie dokładnie, bo tylko bez jednego czy dwóch miesięcy, w pociągu Frankfurt – Sztokholm, wtedy w dzień, w pełnym przedziale, dzisiaj całkiem sam, ponieważ jest właśnie pierwszy dzień Bożego Narodzenia, i w nocy. Więc dzisiaj, poza sobą, nie mam kogo tym pisaniem kokietować.

Kto wie zresztą czy pisanie na maszynie nie jest doskonałym środkiem na nudę w pociągu, zważywszy, że nic innego w pociągu nie mogę robić, to jest nie mogę przede wszystkim czytać, ze względu na słabe oczy.

Dodaję, że nigdy nie ośmieliłbym się pisać w pociągu w Polsce. Za wielkie zwracanie uwagi na siebie. Zawsze walczyły tam ze sobą dwie moje siły: żeby się wyróżnić i druga, żeby się ukryć. Pierwsza może bardziej ogólna, druga może nieco moja prywatna, zważywszy, że boję się trochę więcej ponad przeciętną.

Nie wiem, czy mógłbym zresztą dalej pisać, gdyby teraz weszła do przedziału chociaż jedna osoba. Tak samo jak z pisaniem na maszynie jest z życiem w ogóle. Najlepiej mi się żyje, kiedy nie ma nikogo. Oczywiście na tej samej zasadzie, na jakiej... nie mogę jednak znaleźć odpowiedniego porównania. Lepiej powiedzieć prostacko i bez żadnych porównań, że nie wiadomo, jak by to było, gdyby nigdy nie było nikogo. Oczywiście takie pisanie kolejowe jest jak mówienie kolejowe i nie należy wymagać od niego mądrości.”

Sławomir Mrozek, 25 grudnia 1966[15]

„Boże Narodzenie. Po raz pierwszy od ilu lat? Od dwudziestu? Może od dwudziestu, mam choinkę. Ale nic z tego nie wynika, mógłbym jej nie mieć.

Gazety polskie. Z odległości wydaje się kompresja, takie ściśnienie *ressentiment*, upodlenia, pożądań, oczywiście nie napisane tak na goło, to ja o tym wiem, to ja to widzę, kiedy czytam, ja to umiem czytać, że aż dziwne, dlaczego nic z tego nie wynika, przecież powinno aż buchać dramataми. Może dlatego nic, że temu ciśnieniu powinno towarzyszyć od-ciśnienie, tymczasem ciśnienie ciśnie tylko w jedną stronę, nie ma więc napięcia, jest tylko popychanie. Człowiek upodlony przeżywa dramat, jeżeli to upodlenie odczuwa, jeżeli atakuje coś w sobie tak samo silnie, jak to coś go atakuje, tymczasem ma się wrażenie, że wszystko rozpływa się co najwyżej w narzekaniu. Nie mam za złe, nie

sądę, stwierdzam tylko. Przecież i ja widzę to tylko dlatego, że patrzę z dystansu, syntentycznie, ot, tak sobie, w ciągu jednego popołudnia w niedzielę Bożego Narodzenia. Wiem, że gdybym tam był, tak jak byłem, także trudno by mi było wydobyć z siebie dramat. (...)”

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1968[16]

„(...) Wilja była kompromisem różnych obyczajów. Barszcz i śledź, ale też langusta i południowe owoce. Z wujostwem odśpiewaliśmy kilka kolęd. Reszta z adaptera. Atmosfera prawie wigilijna.

Była potem transmisja telewizyjna z Apolla. Ostatnie okrążenie Księżyca. Przez okno kabiny w formie zaokrąglonego na rogach rombu ospowata, biała powierzchnia, wyglądająca jak kawał sera, przesuwająca się z wolna. Pod koniec od lewej strony napływający cień ciemnej połowy Księżyca. I głosy astronautów, komentujące ten martwy pejzaż. Na ostatku każdy z nich odczytał fragment z księgi Genezis: „Na początku Bóg stworzył ziemię...” itd. Tym razem już nie było w tym śladu arogancji. Nawet te bełkotliwe, rzeczowe głosy na tle białego wycinka obcego świata brzmiały wzruszająco. I myślałem z wdzięcznością, że to dobrze, że takimi słowami człowiek wita nowe obszary. Gdyby to byli Rosjanie, zawlekliby już w kosmos małostkowe echa polityki. (...)”

Zbigniew Herbert do Czesława Miłosza, styczeń 1969, Berlin[17]

„Kochany Czesławie, dziękuję Ci bardzo za kartkę z życzeniami. Święta i nowy rok (na wszelki wypadek piszę małą literą) przeżyłem pod znakiem grypowej trzęsionki. Teraz już lepiej zbieram się do roboty.

Pytasz o plany. Otóż żadnych konkretnych nie mamy; do Ludowej nie bardzo chce mi się wracać ale Ludowa jako to kobieta zmusza do posłusznej miłości albo rozstania. Mroźka już to dosięgło ja na razie tchórzliwie się wymiguję. Napiszę wkrótce list a teraz przesyłam Jance, Tobie i chłopcom najserdeczniejsze życzenia noworoczne zdrowia i spokoju i ściskam Cię serdecznie”

Zygmunt Hertz do Czesława Miłosza, 16 grudnia 1970[18]

„Znowu wielkie denerwacje, przypominające okres historii poznańskich. Tylko inna epoka – tam przeszłość, XX zjazd i przyszłość październikowa, tutaj przeszłość, marzec 1968 i agresja czechosłowacka – przyszłość według mnie jak najbardziej czarna i beznadziejna. Wszystko wielką prowokacją – prowokacją było podwyższenie cen. Umacnia mnie w tym mniemaniu to, że nastąpiło ono w okresie świątecznym – ludzie liczyli, że lepiej zjedzą, kupią pożał się Boże jakieś prezenty. I jeszcze dodatkowo, że rozruchy wybuchły w terenie, gdzie władzę sprawuje pupil Gomułki – Kociołek. Wg. mnie milicja, ORMO stłumią to wszystko razem, ZBOWiD będzie patronował

tłumieniu, a Moczar przyjdzie z rachunkiem do Biura Politycznego jeszcze w okresie, kiedy patrole milicyjne krążyć będą po ulicach. Czyli *tout court* druga Czechosłowacja, z tym, że tam był ferment ideologiczny, tu go nie ma, tam ferment był tłumiony przez Ruskich – tu własnymi rękami. Bodaj by się moje proroctwa nie spełniły. Rzygać się chce tym wszystkim razem. (...)”

Jan Józef Szczepański, 24 grudnia 1970[19]

„Za chwilę siadamy do Wilii. Ze Staszkiem [Krasnowolskim], Piotrem Miszewskim i Antosią oprócz nas. Przyjechałem rano z Warszawy. Odebrałem wczoraj nagrodę Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Spadł duży śnieg. Wczoraj „rekonstrukcja” rządu. Przeważnie ze stołka na stołek. Cyrankiewicz przeszedł w miejsce Spychalskiego – powiedziawszy w sejmie tylko tyle, że „nie umiał zapobiec wypadkom”. Sytuacja wymaga od tych ludzi prawdy. Starają się (ze strachem) nie kłamać zbyt oczywiście, ale prawdy nie potrafią już powiedzieć. Zbyt dawno wykreślili ten taktyczny środek ze swojego repertuaru. Widziałem się ze Szczypiorskim. Widział żądania stoczniowców szczecińskich. Sprawy bytowe są na dalszych miejscach. Najpierw demokratyzacja w Związkach Zawodowych i w partii. Potem ogłoszenie prawdziwego przebiegu wypadków i ukaranie winnych. Potem przemianowanie stoczni z im. Adolfa Warskiego na imię 13-letniego chłopca zabitego przez milicję. Potem zmiana ordynacji wyborczej. Dopiero potem podwyżki płac. To społeczeństwo w momentach kryzysu zawsze okazuje się szlachetniejsze niż w normalnym życiu”.

Gustaw Herling-Grudziński, 24 grudnia 1971[20]

„Miasto kompletnie już zeszpecone gwiazdkowymi wisiorami i bohomazami, na szczęście w starej dzielnicy mogłem trochę połączyć wśród kramików ze ślicznymi figurami i akcesoriami do żłóbków.

Oglądałem z F. w telewizji wybór prezydenta. Tym razem poszło gładko, panom tudzież towarzyszom posłom i senatorom śpieszyło się do stołu wigilijnego. *Habemus Leonem!* – wykrzyknął F., co miało być aluzją do konklawe w Viterbo, dokładnie siedem wieków temu. Trzydzieści trzy miesiące wlokły się w Viterbo kardynalskie boje („z psią zajadłością” – notuje kronikarz), władze miejskie najpierw wstrzymały dostawę żywności Świętemu Kolegium, a gdy i to nie poskutkowało, zarządziły zdjęcie dachu nad salą elekcyjną. Izby Duch Święty, który szparami do sali precyzyjnie się nie może, zstąpił na czcigodnych ojców prosto z nieba”. Kardynałowie nie dali jednak za wygraną, głosowali dalej, nie zważając na spiekotę i deszcze. Takiej wytrwałości brak dzisiejszym potomkom trzynastowiecznych elektorów, wystarczy groźba popsutego Bożego Narodzenia. (...)”

Jan Józef Szczepański, 26 grudnia 1971[21]

„Jakaś nieuchwytna niewygoda w tych świętach, której nie potrafię zlokalizować. Niby wszystko jak trzeba. Obficie, serdecznie, rodzinnie, a jednak jakby nie całkiem prawdziwie, jakby to było odgrywanie wyuczonych na pamięć, dawnych przeżyć. Już bez tego pełnego pogrążenia się w nastroju. Dziś obrzędowe kolędowanie u Woźniakowskich, wizyta u Pastuszków. Jutro czeka mnie jeszcze jedno obrzydliwe badanie lekarskie (może i to mnie truje), a potem do Kasinki.

U Różewicza, obok rzeczy bardzo mądrych, mnóstwo małostkowej szarpaniny z krytykami, z „kolegami po piórze”. Znam go z tej strony, ale dziwię się, że nie ma oporów przed pokazywaniem tej twarzy publicznie. A może to szczerłość, którą też trzeba na sobie wymóc, oddając siebie literackiej tradycji.”

Jan Józef Szczepański, 27 grudnia 1972[22]

„Wczoraj skończyłem przedostatni rozdział. Przeczytałem Danusi i wydał mi się całkiem dobry, mimo że pisałem go z takim trudem i w takim zwątpieniu. Dziś zacząłem ostatni – ze strachem, że nie potrafię związać razem luźnych końców. Święta zakończone wczoraj tradycyjnym kolędowaniem u Woźniakowskich, w atmosferze (jak zwykle) nie całkiem autentycznej swobody i zażyłości (bo zawsze „w ramach” – narodowego obyczaju, towarzyskiego „między nami”, przyjaźni o dobrych intencjach, ale nie dość utartej praktyce). Potem z

Kasią u Jerzów [Turowiczów], gdzie Jerzy pokazywał slajdy ze Stanów. Jerzy chce przedstawić moją kandydaturę do nowej nagrody jakiejś polonijnej fundacji. Bardzo chwalił „Trzy róże”.

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1976[23]

„Smutek i czczość kończącego się roku. Wczoraj wilia całkiem przepisowa (z Piotrem i Ewką Morawską na dodatek, z kolędami i prezentami – nadspodziewanie obfitymi jak na naszą bryndzę. Jaś obdarowany wspaniale i szczęśliwy, ale dziś już złapał chyba grypę. Wstąpili Pastuszkowie, Riegerowie, Długi Michał. Byłem z młodzieżą na pasterce u w. Anny. Kiedy wracaliśmy, zaczął padać śnieg i dziś już biało. Byliśmy na śniadaniu u Pastuszków. Na obiedzie u nas Michała kolega, Jugosłowianin, z dziewczyną. Mimo całego tego ruchu uczucie zastoju i pustki. Lęk przed przyszłością, która wydaje się coraz bardziej cudza, niezależna od pragnień i woli. Wczoraj, kiedy wracaliśmy z pasterki, szliśmy w trop bandy pijanych, rozwrzeszczanych wyrostków, wykrzykujących plugawe wyrazy, zaczepiających przechodniów. Wydawali mi się heroldami tej przyszłości – znikczemniałej, pozbawionej sensu.”

Konstanty A. Jeleński do Czesława Miłosza, 24 grudnia 1977[24]

„Kochany Czesławie, słówko tylko w pośpiechu, żeby wysłać ten list przed Świętami. Wybacz mi moje długo milczenie. Miałem dość pechowy okres – długie, bolesne zapalenie uszu, potem kłopoty z okiem (raczej, na szczęście, z powieką: operowano mnie na stwardniały jęczmień – po francusku ma to zabawną nazwę: *chaloiseau!*). Jednym słowem – niższa witalności taka, że poza „zawodowymi” obowiązkami nic nie mogłem właściwie przedsięwziąć. Teraz jestem na wsi, w naszym domku nad Loarą, na 10 dni, ze stosem zaległej korespondencji i spraw – do Ciebie piszę to pierwsze słówko – po Świętach napiszę dłużej. Wczoraj dostałem „Times Lit. Sup.” – artykuł dobry, inteligentny, ale: „The Polish critic and philosopher Czeslaw Milosz”!! Piszę w tej sprawie list do redakcji.

W następnym liście opiszę Ci szerzej nasze (moje i kilku przyjaciół) starania w sprawie „Twojego Nobla”. Andrzej Vincenz napisał mi, że w tym roku zwrócono się do nich o wysunięcie kandydatów – wysuwa oczywiście Ciebie. Sporo też starań robi Leszek.

Ale o tym dłużej po Świętach. Myślę o Tobie, o Jance z czułą i czujną troską.

Oby ten Rok Nowy przyniósł Jance poprawę – powiedz Jej, że czule jej ręce całuję!”

Sławomir Mrozek, 24 grudnia 1978[25]

„(...) Dzień wigilijny. Przez mury czuję podniecenie miasta, napięcie tyłu emocji, świadomości, rodzaj „piku”. Jak daleko już odszedłem od normalnego człowieczeństwa. Nie odczuwam nic: ani depresji, żalu i krzywdy, że ten dzień i wieczór nie różni się od innych moich dni (ale jakiej krzywdy, na litość boską, że jestem sam, tak jak jestem, to moje dzieło, to wynik całożyciowej pracy nad tym, żeby właśnie tak było, i takiego sterowania, żeby do tego dobić), ani nie wbijam się z tego powodu w żadną samotniczą pychę, deprecjonując obyczaj, wzruszenie wigilijne społeczności. Trwam – w tym przynajmniej wypadku – w owej równowadze dziury.”

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1978[26]

„Dopiero teraz, pod wieczór, odżyłem po nieznośnym bólu głowy, który dręczył mnie od rana. Wilia, mimo braku karpia, była obfita. Towarzyszył nam przy stole Długi Michał. Na kolędowanie przyszli Riegerowie, Pastuszkowie (ze Szkotem, który przyjechał do Ani) i Julkowie [Wolscy]. Pasterka u św. Floriana. Dziś na obiedzie p. Osińska. Czytam Emmanuela Todda „La Chute finale”. Bardzo jasna i przekonująca analiza ekonomiczno-socjologicznych przyczyn stagnacji sowieckiego modelu i wzrastania dysproporcji gospodarczych i cywilizacyjnych, nie tylko między ZSRR i Zachodem, ale nawet między metropolią a satelitami. Jedna tylko rzecz niewzięta pod uwagę – jak dalece odwracalna może być degeneracja moralna, jaką produkuje ten system.”

Jan Józef Szczepański, 26 grudnia 1978

„Kolędowanie u Jacków Woźniakowskich. W Nowej Hucie puszczono w czasie pasterki gaz łzawiący. Marcinowie Wolscy byli świadkami tego”.

Sławomir Mrozek, 24 grudnia 1979[27]

„(...) Katastrofalne poczucie, że nie mam nikomu nic do powiedzenia, oraz katastrofalny brak zainteresowania tym, cokolwiek ktokolwiek mówi. Rodzaj choroby psychicznej, która przejdzie, jak wszystko. (...) Przecież to dzień wigilijny, podobno. Ale odmiennie niż rok temu, nie mam już nawet ochoty napisać, że nic z tego powodu nie czuję. Czyli to samo co rok temu, ale jeszcze bardziej.”

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1979[28]

„Na wili 10 osób. Oprócz nas Staszowie z Jasiem, Długi, Maryna, Diana. Potem jeszcze mnóstwo gości – Pastuszkowie, Graham, Julkowie, Stefan Rieger, Kowalczukowie. Dobrze, ciepłe święta. Przedtem byłem u p. Wicherkiewiczowej. Zupełnie sama, popłakująca. Ktoś zaprosił ją na wilię, ale nie chciała iść. „Jak już nie umiem jeść przy stole. Nie potrafię trzymać widelca w tych palcach”. Wstąpiłem do Kotulów. Oboje chorzy.

Dziś leniwy dzień. Byliśmy z Danusią u Jacków [Woźniakowskich] na kolędowaniu. Przeczytałem „Zdążyć przed Panem Bogiem” Hanny Krall. Trochę za bardzo fryzowana ta przejmująca relacja.”

Jan Józef Szczepański, 25 grudnia 1980[29]

„Bardzo udana wilia. Wszystkie dzieci i niemowlęta, oprócz nas Diana i Stefan Rieger. Udało się jeszcze zdobyć brakujące prezenty i każdy został obdarowany. Tomek bardzo grzecznie uczestniczył w kolędowaniu, jadł z nami przy stole, był uszczęśliwiony choinką i zabawkami. Wpadła Jasiunia [Pastuszko] z Anią i Andrzejkiem, a potem jeszcze Kowalczukowie. Wszystko odbyło się spokojnie, serdecznie, bez żadnych napięć.

Dziś przygotowuję przemówienie na Zjazd [Związku Literatów Polskich]. Chciałem wystąpić całkiem spontanicznie, ale już zaczynam odczuwać ciężar tej nieszczęsnej prezesury i wolę nie ryzykować. Teraz

trzeba będzie ważyć zawczasu każde słowo.”

Gustaw Herling-Grudziński, 25 grudnia 1981[30]

„Zarysowują się trzy warianty. Pierwszy, czysto teoretyczny i naiwny: zwolnienie Wałęsy i prezydium „Solidarności”, rozmowy (z udziałem Kościoła) na temat nowych układów, przy nacisku junty na branżową, a nie regionalną strukturę związków. Drugi, prawdopodobny i konieczny: zejście „Solidarności” do podziemia, narodziny konspiracji. Trzeci, mniej prawdopodobny, choć w duchu mentalności junty: stworzenie „Solidarności” ubeckiej, złożonej z tych, co się pokajali i pokajają, oraz z dawnych „wtyczek” w NSZZ.

Słyszę, że pierwszą reakcją Papieża na pucz był list do Jaruzelskiego, w którym padło słowo „hitleryzm”. List odrzucony przez adresata. (...)”

Przemysław Pięta

[1] Jarosław Iwaszkiewicz, Dzienniki 1911-1955, Czytelnik, Warszawa 2007, s. 444-445

[2] Jan Józef Szczepański, Dziennik Tom II (1957-1963), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 60

[3] Jerzy Giedroyc, Andrzej Bobkowski, Listy 1946-1961, Czytelnik, Warszawa 1997, s. 565

[4] Tamże, s. 566

[5] Op. cit., s. 219

[6] Op. cit. s. 619

[7] Op. cit., s. 674-675

[8] Zygmunt Hertz, Listy do Czesława Miłosza 1952-1979, Instytut Literacki, Paryż 1992, s. 57

[9] Andrzej Bobkowski, Notatnik 1947-1960, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2013, s. 145

[10] Tamże, s. 419-420

[11] Tamże, s. 578-579

[12] Stanisław Lem, Sławomir Mrożek, Listy, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s.78-79

[13] Op. cit, s. 774-775

[14] Sławomir Mrozek, Dziennik Tom 1 (1962-1969), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 301

[15] Tamże, s. 422-423

[16] Jan Józef Szczepański, Dziennik Tom III (1964-1972), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 424-425

[17] Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Korespondencja, Zeszyty Literackie, Warszawa 2006, s. 100

[18] Op. cit., s. 348-349

[19] Op. cit., s. 620-621

[20] Gustaw Herling-Grudziński, Dziennik pisany nocą Tom I (1971-1981), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011, s. 114-115

[21] Op. cit., s. 690

[22] Op. cit., s. 764-765

[23] Jan Józef Szczepański, *Dzienniki Tom IV (1973-1980)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2015, s. 338

[24] Konstanty A. Jeleński, *Czesław Miłosz, Korespondencja, Zeszyty Literackie*, Warszawa 2011, s. 193-194

[25] Sławomir Mrozek, *Dziennik Tom 2 (1970-1979)*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012, s. 768

[26] Op. cit., s. 502

[27] Op. cit., s. 821

[28] Op. cit., s. 573

[29] Op. cit., s. 664-665

[30] Op. cit., s. 766